№ 7. WARSZAWA, 28 KWIETNIA 1906 R. ROK I.

PRZEGLĄD SPOŁECZNY

Tygodnik naukowo-literacki, społeczny i polityczny.

PRENUMERATA:

w Warszawie:		Z przes. pocztową:	
z odnosz. do domu	r. k.		r. k.
Rocznie	7 60	Rocznie	9 —
Kwartalnie	1 90	Kwartalnie	2 25
Miesięcznie	— 65	Numer pojedyń.	— 20
Numer pojedyń.	— 15	Za zmianę adresu	— 22

PRZEGLĄD SPOŁECZNY WYCHODZI CO SOBOTA.

Adres Redakcji i Administracji WIEJSKA Nr. 15.

OGŁOSZENIA po k. 10 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście k. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10 do 5—prócz świąt.

W interesach redakcyjnych porozumiewać się można od 3-ej do 4-ej.

DROBNE RĘKOPISY NIE ZWRACAJĄ SIĘ.

Szanownych Prenumeratorów prosimy o nadsyłanie przedpłaty, a także adresów dla №-ów okazowych.

Zwracamy uwagę na nowy ADRES Redakcji i Administracji „Przeglądu Społecznego", ulica WIEJSKA Nr. 15.

GABINET FRANCUSKI.

Polityka obecna gabinetu francuskiego przedstawia interesujący objaw i niewątpliwie zbogaci doświadczenie polityczne klas pracujących nietylko Francji, lecz i pozostałych państw kapitalistycznych. „Gabinet premierów" - jak go nazwano wskutek tego, że w skład jego weszły najprzedniejsze umysły świata politycznego Francji, z których każdy był lub mógł być premjerem—jest nietylko gabinetem pierwszorzędnych polityków, lecz nadto przedstawicieli najskrajniejszego skrzydła burżuazyjnego radykalizmu. Takinaprzykład, Bourgeois, minister spraw zagranicznych, stał już na czele gabinetu, należy do najwybitniejszych mężów stanu i nadto uchodzi za radykała czystej wody — ideologa radykalizmu. „L'Apôtre de la Solidarité" — tytułuje go drobnomieszczański moralista Jules Payot, poświęcający mu swe dziełko p. t. Cours de morale". Istotnie Bourgeois ogłosił drukiem poważną pracę filozoficzną p. t. Solidarité i to jest znamienne, że p. Bourgeois, który zdołał ująć w system ideologję episierów i drobnych lichwiarzy, tłoczących się w przedpokojach bankierów, — własną osobą dowiódł, że burżuazja w pogoni za rentą ze swych kapitałów, zdobytych przy likwidacji dóbr narodowych (zarobek zresztą niebardzo szczytny) utraciła wszelką ideologję. Czego dowodził piórem i słowem pan Bourgeois, filozof, temu zaprzeczył w sposób jaskrawy i dobitny, nie podlegający żadnej wątpliwości, pan Bourgeois, minister spraw zagranicznych.

Drugi z kolei filozof, radykał i ideolog gabinetu premjerów jest p. Clemenceau, który zjadł zęby w walce z cezaryzmem, nacjonalizmem, klerykalizmem (trzeba przyznać, że i z socjalizmem) i wszelką reakcją. Smutny liryzm marzyciela połączony ze stoicyzmem, pełnym miłosierdzia płynie z kart jego dzieła (La Mêlée sociale), które zdają się być pisanemi pod dyktando Epikteta... O nim utarło się zdanie, że dotychczas nie obejmował żadnego ministerjum, ponieważ współudział w rządach wymaga kompromisów, których ideolog tak czystej wody dopuścić się nie mógł,

Dalej idzie Poincaré, również radykał i filozof znakomity uczony, profesor uniwersytetu, i wielu innych. Słowem ministerjum radykałów filozofów, między któremi głowa oportunistycznego socjalizmu, projektodawca prawa o rozdziale Kościoła a Państwa — obecnie minister wyznań i oświaty — Briand czuje się jak w swoim domu.

Nic więc dziwnego, że podobny skład gabinetu budził nadzieje najbardziej pesymistycznie usposobionych elementów społeczeństwa francuskiego, nawet najmniej od rządów burżuazyjnych oczekującej klasy robotniczej. I jeśli te nadzieje zawiódł, to przyczyny tego należy szukać w istocie układu wewnętrznego społeczeństwa francuskiego, którego polityka jest wyrazem. W układzie tym w dobie obecnej przeważa w znacznej mierze kapitał i z tego powodu polityka francuska, bez względu na to, czy nią kieruje p. Bourgeois

czy p. Rouvier — ideolog drobnego mieszczaństwa, czy pachołek wielkiej burżuazji — musi odpowiadać potrzebom kapitalizmu. Różnica może polegać jedynie na większym lub mniejszym zrozumieniu demokratyzmu, lecz jedynie o tyle, o ile demokratyczna polityka nie wejdzie w jawną kolizję z interesami kapitału. I jeśli instytucje robotnicze cieszą się obecnie większą niż dawniej swobodą działania, to wypływa ztąd, że kapitał uprzemysłowiony nie stanowi dominującej formy ekonomicznej Francji i klasą dzierżącą ster ekonomicznych rządów jest bankokracja. Episier francuski zbierający swe drobne oszczędności, według recepty Bourgeois ideologa, spotyka się tu na wspólnym terenie z wielkim finansistą, umieszczającym jego kapitalik na dobrej rencie, dzięki zabiegom Bourgeois—ministra.

Widzimy, że Bourgeois teoretyk i Bourgeois praktyk bynajmniej nie kłócą się z sobą, przeciwnie drugi jest konsekwentnym uzupełnieniem pierwszego. Warunkiem dobrego procentowania kapitału u dołu, w sferach demokratycznych, jest umiejętne umieszczanie go u góry w sferach bankokratycznych, najlepszą zaś pod każdym względem lokatą kapitału jest pożyczka państwowa, w której Francja dotychczas trzyma prym na rynku międzynarowym, upośledzając swój własny przemysł, gdyż kapitał, będąc doskonale eksploatowany zewnątrz kraju, niema potrzeby uciekania się do ryzykownych przedsiębiorstw przemysłowych. I kapitaliści francuscy nie byliby kapitalistami, gdyby odstąpili od swej polityki finansowej. Dług państwowy czyli renta jest ideałem klasy, której właściwością jest wszystko konsumować, nic nie produkując, ponieważ nadaje ona kapitałowi nieprodukcyjnemu wartość reprodukcyjną, nie narażając go jednak na ryzyko i wahania nieodłączone przy umieszczaniu przemysłowem lub nawet prywatnem. A więc renta posiada wszyskie dodatnie strony procentowania przemysłowego, nie posiadając żadnej z ujemnych. Rentier nie obawia się gradu ani nieurodzaju, nie zna kryzysów lub wojen — jego dochód góruje ponad ułomnościami handlu, przemysłu i rolnictwa, które go dotknąć nie mogą.

Lecz jeszcze jeden wzgląd natury niemniej poważnej i sięgającej głęboko w istotę układu społecznego skłania kapitalistów do lokowania swych kapitałów coute que coute na rencie państwowej, przekładając ją nad uprzemysłowienie. Z chwilą zamknięcia rynków rentowych kapitał będzie zmuszony cofnąć się do wnętrza i znaleść zastosowanie w przemyśle. Lecz rozwój przemysłu pociąga za sobą wszystkie konsekwencje rozwoju kapitalistycznego. Szybsza koncentracja kapitału spowoduje proletaryzacyę tych mas drobnego mieszczaństwa, które biorąc dotychczas udział w rencie, stanowią podwalinę kapitalistycznej polityki. Nowe masy zostaną rzucone w burzliwy ocean ruchu robotniczego i równowaga sił politycznych zostanie naruszona.

Maryan Aleksandrowicz.

ROZWÓJ IDEI REPUBLIKAŃSKICH WE FRANCJI.

1789 — 1792.

Jeden z mówców Konwentu w 1795 roku wyraził się, że Francja przez 6 lat, dzielących ją od początku rewolucji, przeżyła 6 wieków. Twierdzenie to bardzo plastycznie i ściśle charakteryzuje ten niebywały w historji rozwój, jaki przeszła Francja na końcu 18-go stulecia. Pierwsze lata rewolucyi—to okres nietylko burzenia, ale i okres gorączkowego tworzenia: równocześnie obalano spleśniałe mury feodalizmu i przygotowywano fundamenty pod panowanie młodej i klasy społecznej — burżuazji. Zrywanie z przeszłością odbywało się gwałtownemi skokami; każdy nadchodzący dzień przynosił ze sobą niespodzianki, wstrząsające posadami zakorzenionych poglądów. Wir wypadków porywał nietylko jednostki, ale i masy, które dziś odwracały się z nienawiścią od bogów, którym wczoraj jeszcze korne składały ofiary. Owe lata tworzenia republiki tym właśnie uderzają umysł historyka i filozofa, że urągają wszelkiej znajomości duszy tłumu, którą wyobrażano sobie, jako siłę olbrzymią lecz bierną, którą wieki tylko zaledwie odrobinę z miejsca ruszyć mogą. A przecież tylko, dzięki jednomyślnej postawie całego narodu Francja potrafiła wykopać przepaść między przeszłością, a teraźniejszością, jedynie ofiarność tłumów roznieciła to olbrzymie ognisko wolności, od którego zapalił się cały europejski gmach „starego porządku“. Formy, w jakie przybierze się nadchodząca rewolucja, były zagadką dla najśmielszych umysłów przedrewolucyjnej Francji, i żaden z nich nie śmiał marzyć, słysząc entuzjastyczne okrzyki „vive le roi“, że wkrótce na ich miejsce rozbrzmiewać będzie „vive la republique.“.

Rewolucja stworzyła jednolitą Francję, która przed 1789 rokiem była podzielona na szereg prowincji, mających pretensje do odrębności i samodzielności. Każda z nich stanowiła jakby państwo w państwie, rządziła się własnemi prawami i obyczajami. Spoidłem, które je luźnie tylko łączyło za sobą, była władza królewska i jedność katolickiego kościoła.

Wiemy dzisiaj dobrze, że żadne społeczeństwo nie stanowi jednolitej całości, ale we Francji przedrewolucyjnej przeciwieństwa klasowe uwydatniają się o wiele silniej niż obecnie: „stany“—są to zupełnie odrębne światy, nie mające ze sobą żadnych linji stycznych. Szlachta rodowa, posiadająca wszystkie przy-

wileje, była jakby oderwaną od całego narodu: dawniej z przywilejami były połączone obowiązki, które dziś przejęła na siebie władza królewska. Ręka w rękę ze szlachtą szło duchowieństwo, które naogół więcej zajmowało się dobrami doczesnemi, niż życiem przyszłym.

Tymczasem nowe warunki ekonomicznego bytu wysuwały naprzód dojrzałą już klasę społeczną burżuazję. Siły, jakie posiadała, potrzebowały przestrzeni do rozwoju; tkwił w nich wewnętrzny pęd do władzy, któremu na przeszkodzie stał zmurszały ustrój feodalny. Burżuazja pałała nienawiścią do przywilejów szlachty; z drugiej strony arystokracja zazdrośnie strzegła swoich szeregów przed wtargnięciem obcych żywiołów.

Chłop zaś był jednakowo pogardzany przez szlachtę i burżuazję, i gnąc się pod ciężarem wszelakich powinności wiódł żywot nędzarza i niewolnika.

Władza królewska, w osobie intendenta stała na straży duchownych i świeckich przywilejów, które były biczem ludności. Intendent uosabiał więc tę władzę i siłą przeszłości, którą lud bardzo dotkliwie czuł na swej skórze. Nie był już coprawda włościanin francuski w pańszczyźnianej zależności od szlachcica, lecz mnóstwo podatków i powinności na rzecz władzy centralnej, pana i kościoła czyniły wolność jego zupełnie iluzoryczną.

Wiecznie uciskany lud nie orjentował się w przyczynach swego nieszczęścia. Ciemny—zwalał całą winę na tych, którzy byli najbliżej niego—intendenta, pana i księdza.

Chłop francuski wyobrażał sobie swego monarchę, jako jakieś bóstwo doskonałe i od niego oczekiwał pomocy i ratunku. Król jest sprawiedliwym i dobrym, tylko szlachta i urzędnicy nie pozwalają mu pomóc swemu ludowi—tak rozumował włościanin francuski. Wszystkie „cahiers", które miały służyć jako materjał dla Stanów Jeneralnych, są przepełnione dowodami miłości i przywiązania do króla. „Nasz dobry król! Król jest ojcem naszym"—takie naiwne okrzyki spotkać można nadzwyczaj często w kajetach z parafji, a więc wyrażających opinje chłopów i robotników. Lud francuski przed rewolucją był nawskroś monarchicznym i, być może, że na te właśnie uczucia rachował rząd, zgadzając się na to, żeby przedstawiciele „trzeciego stanu" byli wybierani przez szerokie warstwy, odsuniętej dotychczas od życia politycznego, ludności.

Burżuazja przedrewolucyjna nie była zorganizowana w żadną partję republikańską; również i pisarze ówcześni, którzy swemi pracami przygotowali grunt pod rewolucję, myśląc i czując po republikańsku, nie marzyli nawet o zmianie ustroju państwowego Francji. Montesquieu stawiał, jako wzór monarchję angielską, a d'Argenson chwalił republikę, aby „zaszczepić" monarchji to, co jest dobrego w republice. Voltaire, który taki olbrzymi wpływ wywierał na mężów rewolucji, pisał w roku 1752: „Republika nie opiera się na cnocie, a na pysze, na dumie, zwalczającej dumę; na żądzy panowania, która nie znosi, że inny panuje. Jean-Jacques Rousseau,—ten teoretyk ludowego zwierzchnictwa uznawał, że republikańską formę rządów można z pożytkiem zastosować tylko do małych państewek, arystokratyczną—do średnich, a monarchiczną—do wielkich państw, jak Francja.

Poglądy te podzielali i filozofowie i publicyści, współcześni rewolucji. i nawet ci, co się najbardziej potem odznaczyli przy organizacji republiki, jak np. Condorcet, Robespierre, Danton i wielu innych byli monarchistami w roku 1789.

Francuzi zżyli się z ustrojem monarchicznym tak ściśle, że uroku królestwa i przywiązania do króla nie zachwiało nawet nieszczere postępowanie Ludwika XVI-go z „tiers état", z trzecim stanem. Chwiejne postępowania króla, jego ustępowanie przed wolą przedstawicieli ludu, to rzucanie się w objęcia reakcji, nie odjęło mu jednak świetlanej aureoli. Nawet, kiedy po 14 Lipca 1789 roku, po zdobyciu Bastylji, król musiał ustąpić, jako zwyciężony, nie stracił jednak przywiązania swoich poddanych.

Oto jak naoczny świadek, późniejszy członek Konwentu, Thibeaudeau opisuje przyjęcie, jakie Zgromadzenie Narodowe przygotowało królowi nazajutrz po zdobyciu Bastylji: „Nie panowano więcej nad sobą Zapał doszedł do szczytu. Jeden z naszych współziomków, Choquin, który znajdował się obok mnie, ze łzami w oczach podniósł się ze swego miejsca i wyciągnął ramiona w kierunku króla: nagle pod wpływem gwałtownego wzruszenia, jakie opanowało jego duszą osłabł i upadł nawznak, bełkocąc: vive le roi! I nie był on jedynym, którego opanował taki zapał. Nawet ja sam, pomimo, że broniłem się przed zarazą, nie mogłem oprzeć się pewnemu wzruszeniu. Po odpowiedzi prezydującego król wyszedł z sali; deputowani rzucili się za nim i cisnąc się naokoło niego odprowadzili go do pałacu poprzez rozentuzjazmowany tłum i przejęty takim samym szałem, jak i jego przedstawiciele".

Na początku rewolucji klasy oświecone Francji uważały ustrój monarchiczny za podstawę, na której budować należy gmach reform; chciały one zreorganizować monarchję za pomocą wolnościowych instytucji; ideałem dla nich było zaprowadzenie takiego porządku w którym władza króla nie mogłaby być niebezpieczną dla wolności. Marzyły one o takim stanie rzeczy, w którym „każdy obywatel jest pod berłem króla obywatela". I prawdopodobnie nie przesadzał wcale Camille Desmoulins, pisząc w roku 1793: „Być może że 12 Lipca 1789 roku nie było nas w Paryżu więcej niż dziesięciu republikanów".

Paryż rozpoczyna rewolucję i swym zbrojnym wystąpieniem daje przykład prowincji, jak zdobywać należy swobody polityczne. Na wieść o zdobyciu Bastylji zaczyna się wrzenie w umysłach potulnych chłopów; porwani ogólnym prądem, powstają i drogą rewolucyjną zrucają z siebie powinności feodalne. I ta burzycielska robota odbywa się niby na rzecz monarchji, i nieraz trzaskowi palonych zamków towarzyszyły głośne okrzyki: „Vive le roi!" Bo lud sądził, że występując przeciw panom nietylko sobie toruje drogę do wolności, ale i uwalnia króla od tych licznych, a natrętnych opiekunów, odgradzających go od jego narodu.

Z taką samą myślą miasta powstają przeciw „ministerjalnemu despotyzmowi".

Lud nie zrozumiał roli, jaką odgrywał Ludwik XVI w rewolucji. Przypuszczał on, że król stoi na jej czele, że wykreśla jej drogi i cele. Naród powstając przeciw przeszłości, wyobrażał sobie, że ma króla

za przewodnika. Ludwik XVI nie umiał skorzystać z tej wygodnej roli zbawcy narodu, jaką mu podsuwały wypadki. Rozumieli to dobrze członkowie Zgromadzenia Narodowego i skorzystali z nastroju mas, aby zabezpieczyć się od demokratycznych tendencji. Więc pomimo że tak zwana rewolucja municypalna odbywa się bez króla wbrew jego woli, a w noc obalenia feodalnego ustroju, 4 Sierpnia 1789 Konstytuanta ogłasza Ludwika XVI za „odnowiciela Francji".

Po nocy 4 Sierpnia, która jest granicą pomiędzy starym i nowym czasem, nie widać, żeby umysły stały się mniej monarchiczne, niż dawniej. Istnieją różnice w poglądach co do zakresu i sposobu reorganizacji Francji, lecz panuje zupełna zgoda, że forma rządu musi zostać monarchiczną. Marat, który po 4 Sierpnia nie posiada jeszcze wielkich wpływów, nie wspomina wcale o republice. Chciałby tylko postawić króla „w szczęśliwej niemożliwości czynienia źle". Uznaje jednak nietykalność króla. „Panujący winien być odpowiedzialny tylko w osobie swoich ministrów: jego zaś osoba winna być świętą".

Gazety, które później odznaczą się żarliwym republikanizmem, nie mówią jeszcze podówczas o zmianie formy rządu. A organ Jakobinów, Revolutions de Paris, swierdza z zadowoleniem fakt, że 9 Września publiczność zgromadzona w Theatre Francais zażądała powtórzenia następującego czterowiersza z tragiedji Marie de Brabant, Imberta:

„Oby mógł król, kiedyś bóstwo Francji,
Strącić potęgę feodalnej hydrze
I widzieć szczęśliwych francuzów pod berłem [jednego prawa]
I służących jednemu królowi zamiast dwu- [dziestu tyranom]

Konstytuanta, w której zasiadało tylu późniejszych republikanów, również nieraz manifestowała jednomyślnie swój lojalizm względem Ludwika XVI. 1 Września Rabaut Saint-Etienne, mówiąc o zakresie władzy królewskiej, wyraził się pomiędzy innemi: „W kierunku tronu zwracają się oczy udręczonych ludów i bez względu na męki, które znoszą, wystarczy tylko jednego słowa, jednego jedynego słowa, którego magiczny czar można wytłomaczyć jedynie miłością, jaką do słowa tego pałają, wystarczy tylko ojcowskiego imienia króla, aby przywrócić im upadłą nadzieję". I całe zgromadzenie pełnemi zapału oklaskami wyraziło mówcy swoje uznanie.

Lecz dalszy bieg wypadków, lepiej i prędzej niż agitacja wywołał zmianę w umysłach i przygotowywał je do przyjęcia nowych idei. Naród francuski od przeszłości otrzymał przywiązanie do monarchicznej formy rządu, — przywiązanie, wypływające z przyzwyczajenia; teraźniejszość zaś dawała mu wiarę w wszechpotęgę Konstytuanty i dobrą wolę króla; we współdziałaniu rewolucyjnej prawodawczej i tradycyjnej władzy wykonawczej widział gwarancje osięgnięcia szczęścia. Dopiero kiedy chwiejność króla została zrozumianą przez masy, kiedy nadzieje, obudzone przez wielkie hasła nie znalazły urzeczywistnienia w praktyce — zaczęła powstawać myśl krytyczna i zawiedzione zaufanie zwróciło umysły, zrazu nieśmiało, od form istniejących do form nowych.

Pierwszy paragraf dyskutowanej w roku 1789 deklaracji praw człowieka i obywatela głosił że... ludzie rodzą się i pozostają równi wobec prawa."—Konstytuanta zaś uchwala cenzusowe prawo wyborcze, rażąco sprzeczne z powyższą zasadą. Cały lud francuski we wspólnym wysiłku obalił znienawidzony ustrój feodalny, a w nowym porządku sprawować władze miała zaledwie drobna część narodu. Na początku rewolucji nie mogło być żadnych partji demokratycznych, ponieważ cały naród jedną był tylko opromieniany myślą — myślą zdobycia wolności. Dopiero życie wykazało, że burżuazja, wygłaszając te same hasła, co i lud, zupełnie inną w nie wkłada treść — i rozbieżność w pojmowaiu wolnościowych haseł jest przyczyną powstania zarodków partji demokratycznej. Rozbieżność pomiędzy królem—ideałem i królem—rzeczywistością, pogłoski o koalicji mocarstw europejskich przeciw Francji i wieści o zdradzie Ludwika XVI-go, położyły pierwsze podwaliny pod gmach partji republikańskiej.

Dopiero w drugiej połowie roku 1790 zaczynają się w gazetach pojawiać artykuły, mówiące o korzyściach republikańskiege ustroju, i kwestja ta zrazu traktowana jest ostrożnie i nieśmiało. Pojawiają się też i pamflety poruszające to samo zagadnienie, jak np.: „O ludzie i królach", „Republikanizm zastosowany do Francji", w których Robert dowodzi, że tylko republika może dać gwarancje wolności.

Idee te przenikają powoli i na prowincję. Tak np. 5 Grudnia 1790 roku Zgromadzenie wyborców w Avignou oświadcza, że... „jeżeli tyrani występować będą przeciw nam, trony zostaną obalone i święty związek ludów zostanie nareszcie ustanowiony na całym świecie".

Kwestja republiki wchodzi na arenę dyskusji, ale jest jeszcze roztrząsaną raczej jako teoretyczne zagadnienie, niż jako konkretny zamiar do urzeczywistnienia. Dużo się o niej pisze, ale nie wychodzi ona jeszcze poza obręb klas oświeconych. W końcu grudnia 1790 roku jest nawet w samym Paryżu tak mało zdecydowanych republikanów, że podług wyrażenia jednego z historyków „wszyscy mogliby zmieścić się na jednej kanapie pani Robert".

Na początku 1791 roku sytuacja pozostaje niezmienioną. Marat czuje już pewien zwrot w opinji, ale jeszcze nie odważa się mówić niedwuznacznie... Błędne jest przypuszczenie — pisze w jednem mejscu — że rząd francuski nie mógłby być innym niż monarchiczny i że takim musi być dzisiaj". Lecz widząc monarchiczny nastrój mas, zaraz w następnym artykule tak odzywa się o Ludwiku XVI-ym: „Jest on, naogół wziąwszy, takim królem, jakiego potrzebujemy. Powinniśmy błogosławić niebo za to, że nam go zesłało".

Tymczasem pogłoski o porozumieniu się Ludwika XVI-go z cesarzem austrjackim i królem pruskim stają się coraz więcej alarmujące, podejrzenia o chęci ucieczki — coraz natrętniejsze. Lud zaczyna się niepokoić, że straci swego urojonego przewodnika; przyszłość bez króla wydaje mu się jakąś ciemną i straszną zagadką, wyobraźnia ludu przedstawia sobie bezkrólewie, jako stan bezładu i anarchji. I na tle tego niepokoju mają nawet miejsce drobne zamieszki i manifestacje.

d. c. n.

L. Ferl

JANUSZ KORCZAK.

FERALNY TYDZIEŃ*).

(Z życia szkolnego)

Mama włożyła nową suknię, którą mamie krawcowa zepsuła, i były dwie poprawki. Krawcowa była w dodatku niegrzeczna. Mama nie będzie do niej więcej dawała, ani jej nikomu rekomendować nie będzie,

Mama wybiera się z tatusiem na koncert, na który już nie było biletów, i tatuś ledwo dwa bilety dostał od przekupnia. Ciocia chciała, żeby i dla niej kupić, ale nie było. Ciocia ma dziką pretensję, a tatuś niema obowiązku kupować dla całego świata.

Ludwika ma pilnować, żeby Stasio grał na fortepianie i żeby dzieci o dziesiątej najpóźniej poszły spać. Jak nauczycielka muzyki powie, że Stasio znów nowej sztuczki nie umiał, to mama się z nim na serjo rozprawi. — Dzieci mają nie hałasować i nie rysować podłogi; lampa żeby nie filowała, Stasio żeby się nie drażnił z Józiem, a Zosia jak ruszy co z tualety, to dostanie w skórę. — Nikomu nie otwierać nawet przez łańcuch, a Ludwika żeby się na krok nie ważyła ruszyć z mieszkania. — Czy Stasio umie lekcje?

Mama i tatuś wychodzą na cały wieczór, — jest to wielkie święto dla dzieci. Nikt im nie przeszkadza w zabawie, czasem i Ludwika bierze udział w grze, lub bajki opowiada. Józio i Zosia słuchają bajek z przejęciem, z namaszczeniem, a Stasio niby obojętnie, ale i on lubi słuchać. Najgłówniejsze to, że są sami i mogą robić, co chcą.

Mama włożyła rękawiczki, a tatusia niema. — Dzieci kończą kolację.

Zosia wbiła widelec w skórkę od chleba i wyciera talerz z resztek masła i okruchów kotleta.

— Patrz, szczotkę zrobiłam z chleba.

— Oślica, myśli Stasio.

Józio także zrobił szczotkę z widelca i chleba.

— Już po mnie małpujesz, mówi Zosia.

Mama i dzieci niecierpliwią się.

— Żeby już sobie poszli, myśli Stasio.

Zgrzyt klucza. Tatuś przyszedł.

— Tylko nikomu nie otwierać. Lampa żeby nie filowała. Ludwika niech nie wychodzi. — Bądźcie grzeczni.

Dzieci zostały same. Nie wiedzą, czemu, ale dziś mniej się jakoś cieszą, niż zwykle. Stasio jeden wie tylko, ale nie powie. — Dzisiejsza awantura z kaligrafem i dwie dwójki. Niezrobionego zadania Stasio nie liczy, bo powiedział już mamie, że nie zrobił.

Józio przerysowuje obrazek z „Przyjaciela", Stasio czyta kradzieże w kurjerku, — to dobre na zwyczajny wieczór, ale nie, kiedy mamy niema. Zosia chce dać hasło do zabawy.

— Wiecie, że jak wejść do studni, to można w dzień widzieć gwiazdy.

— A jakże, zauważa ironicznie Józio.

— Nie — a jakże, bo pani mówiła.

— Twoja pani tyle wie, co zje.

— Żebyś ty wiedział tyle, co pani.

— Wszystkie baby nic nie wiedzą, mówi Józio, któremu udzielił się smutny nastrój Stasia.

— A mamusia także jest baba, to mamusia także nic nie wie. — Dobrze... dobrze...

Rozmowa się nie klei; Zosia się nie zraża.

— A jak patrzeć na błyskawicę, to się oślepnie.

— To ci także mówiła pani? — pyta Stasio, który już skończył drobne wiadomości w kurjerku.

— Nie, to ja sama widziałam.

Do pokoju wchodzi Ludwika.

— Stasiu, pani powiedziała, żeby Stasio grał... Niech Stasio rzuci kurjera, bo tam nic mądrego niema dla Stasia.

— Jak Ludwika nie umie czytać, to Ludwika nie wie, czy mądre, czy głupie.

— Nie umiem, bo mnie nie uczyli, — mówi Ludwika.

I Stasio żałuje, że jej tak powiedział. — Ludwika opowiadała im raz, kiedy mamy nie było, — jak ją biła macocha, jak ją potem chciała wydać za mąż za starego, jak ona z domu uciekła, — i Stasio dał sobie słowo, że będzie dla niej dobry; nawet ją zaczął uczyć liter. — Ale po co z nim zaczyna zawsze?

I teraz chciał powiedzieć, żeby usiadła, to jej przeczyta zbrodnię na Woli, potem Ludwika opowiedziała by także zbrodnię, — i takby się zaczął wieczór przyjemny. — Ale dwie dwójki, — kurator.

— Niech Stasio odda kurjera.

— Niech Ludwika puści, bo podrę.

— To niech Stasio puści.

— To dobrze: ja się ze Stasiem bić nie będę.

Ludwika ma myśl ukrytą: chce, żeby każde z dzieci coś zbroiło, żeby je potem zobowiązać do milczenia; a sama chce się wymknąć na pół godzinki do pralni, gdzie wieczorem bywa tak wesoło.

— A Zosia niech nic nie rusza.

— A właśnie, że ruszę.

— A ja mówię, że nie ruszysz.

Zosia wchodzi odważnie do ciemnej sypialni i wynosi flakon z wodą kolońską.

— No, o tem to już pani będzie wiedziała.

— To niech wie.

Józio jest złote dziecko. Teraz jest spokojna. Żadne z dzieci nie piśnie ani słówka. Może sobie wyjść swobodnie na godzinę.

Stasio odłożył gazetę, oparł się i patrzy na Józia:

— Mamin Synek, — myśli o nim z zazdrością. — Brata się powinno kochać. Czy ja go kocham?

— Może zagramy w co? — decyduje się wreszcie Zosia. Józio patrzy pytająco na Stasia.

Stasio wyjmuje z szafy tom Słowackiego, bo Sienkiewicza mama dawno już pod klucz zamknęła. — Stasio nie lubi wierszy. — „Ojciec zadżumionych," — może to i ciekawe.

Zosia patrzy na zegar. Już przeszło pół godziny — i nic.

— Powiem mamie, żeś wyjął książkę.

— A ja powiem, że ruszałaś perfumy.

Józio kładzie się na kanapie.

Stasio czyta, — czyta z wzrastającem zainteresowaniem.

I nagle przychodzi mu do głowy myśl dziwna: ten ojciec zadżumionych podobny jest do Stasia. — I na ojca zadżumionych i na Stasia spada cały szereg nieszczęść, których końca nie widać. — Jeszcze się feralny tydzień nie skończył, — jeszcze dwa dni. Kto wie, co dalej będzie? Może go wyrzucą, albo co? — Tamtemu dzieci umierały, a on dostaje dwójkę po dwójce. — I za co to, za co? Co złego zrobił ten ojciec, że mu umierały tak dzieci? — Biedny! — Stasio ma łzy w oczach. Józio siedzi na krześle i patrzy w światło lampy. Zosia patrzy gniewnie na Stasia: przez niego cały wieczór zepsuty, — jakieś muchy ma w nosie dzisiaj, — wykapany tatuś...

Niema nikogo z dorosłych, a w mieszkaniu tak cicho. Czemu dziś tak smutno, chociaż niema mamy?

Oto krzywda się dzieje już nie Stasiowi tylko, ale Józiowi i Zosi także. Oto sen mroczny śni historja, że zły duch, zła siła legła u wrót izby szkolnej, — zła, bo nie znosi śmiechu dzieci, — zła, bo gdy taki wesoły i bez troski śmiech dzieci usłyszy, to jej krwią nabiegają oczy, leniwie głowę ku drzwiom zwróci, — i warknie — i śmiech płoszy.

Biedne, bezradne, — gdzież modlitwa za wasze szczęście płowe, — gdzie pomoc? — Zdziwione oczy wasze smutne. — Może jawi się cud — rycerz o stu głowach, o stu po sto rąk czarnych w guzach i garbach i bliznach od ciężkich narzędzi pracy, — i dla wszystkich i dla was lepsze jutro kupi.

Mroczny sen śni historja.

* * *

— Poczekaj, dam ja ci za wczorajsze, — odgraża się Malinowski.

Malinowski jest dzisiaj dyżurnym. — Stasio przypomina sobie wczorajszą kłótnię, i niepokój wkrada mu się w serce. — Malinowski i tak jest świnia i lizuch, a teraz jeszcze...

Po drugim dzwonku ktoś gwizdnął.

— Przemyski, dlaczego gwiżdżesz? — ryczy na cały głos Malinowski, wiedząc, że pedel chodzi po korytarzu.

— Kłamiesz: to nie ja gwiżdżę, — broni się Stasio, choć wie, że jeśli dyżurny powie pedlowi, to napewno uwierzy dyżurnemu. Stasio czuje swoje położenie bez wyjścia, i bezsilny gniew w nim wzbiera.

W klasie ktoś gwizdnął po raz drugi.

— Znowu Przemyski? — wrzeszczy Malinowski i zapisuje Stasia na kartce.

Ale pedel nie słyszał; Stasio jest ocalony. Stasio pokaże temu świntuchowi, że go się nie boi.

— Masz, zapisuj sobie, i gwizdnął sam teraz.

I w progu ukazał się inspektor.

— Kto gwizdał?

— Przemyski, — i podaje kartkę.

— Zostaniesz na dwie godziny po lekcjach.

Inspektor bierze kartkę od Malinowskiego i wchodzi do piątej klasy na lekcję.

— Po co ci było z nim zaczynać?

— Pilnuj swojego nosa.

A to się wiedzie temu Przemyskiemu, — no!

Stasio ma godzinę do namysłu. Inspektor zapisze do sztrafnego dopiero na dużej pauzie. — Prosić, czy nie prosić?

— Idź poproś, — namawiają koledzy, — powiedz, że cała klasa widziała.

— Niech no ja będę dyżurnym, — mówi jeden, — to Malinowski dostanie za ciebie.

— Świnia, lizuch, — bydlę.

Stasio czeka przed drzwiami piątej klasy, inspektor nigdy zaraz po dzwonku nie wychodzi, tylko dopiero w pięć minut. — Obok Stasia wszyscy jego stronnicy w pogotowiu, — to świadkowie; trochę zdala — reszta klasy.

— Co to znów za zbiegowisko?—pyta, wychodząc inspektor.

— No idź, — pchają go koledzy.

— Proszę pana... zaczyna Stasio.

Powie mu wszystko, — od samiutkiego początku, wszystko, jak na spowiedzi, — wszystko od poniedziałku. — Przebaczy mu, — musi mu przebaczyć —musi mu przebaczyć.

— Rozejść się! — Kartkę Malinowskiego inspektor trzyma w ręce.

— Proszę pana... ja...

Inspektor nie słyszy, — idzie przez korytarz. Na wschodach tłum ich rozdziela. Stasio przechyla się z jakimś dzikim uporem. Powie mu wszystko od samiutkiego początku, — wszystko mu powie, — od samego poniedziałku powie. — Przebaczy, napewno przebaczy, — nie zapisze do sztrafnego: Na progu uczitielskoj zastępuje drogę.

— Proszę pana...

— Wiem, wiem...

— Proszę pana...

— Już nie będziesz więcej, — prawda?

— Już nie będę.

— Jak nie będziesz, to bardzo dobrze, a dziś posiedzisz dwie godziny. Zrozumiałeś?

I znikł.

— No co?

— Idźcie do djabła!

Stasio wraca do klasy i wybucha gwałtownym płaczem.

— Przemyski, wyjdź z klasy, — woła zdaleka Malinowski.

Stasio nie odpowiada. Malinowski nie śmie drugi raz powtórzyć rozkazu.

Do klasy wchodzi klasowy gospodarz: czy wszyscy wyszli, czy okna otwarte?

— A ty co? Aaa, Przemyski. — Źle, źle: wczoraj trzy pałki, dziś koza.

I za tych kilka obojętnych słów Stasio jest mu tak wdzięczny, jak za najwyższe dobrodziejstwo; niema już do niego żalu za poniedziałkową dwójkę. — Pozwolił mu zostać w klasie, nie skrzyczał, nie wypędził.

* * *

Niemiec, stawiając Stasiowi stopień, pokiwał smutnie głową, cmoknął ustami, spojrzał na jego zapłakane oczy i postawił mu czwórkę z plusem. — Stasio tylko na trójkę zasłużył, — i to może z minusem.

JANUSZ KORCZAK.

Duszą działalności literackiej Janusza Korczaka, nadającą wszystkiemu, co napisał on dotychczas, indywidualny ton i nieprzemijającą wartość dokumentu kultury społecznej — jest walka z litością, jest nieustannie żywe i obecne w każdym niemal wierszu usiłowanie wypalenia, wytrawienia z siebie tych specyficznie obłudnych stanów duchowych, jakie bywają krzewione w pewnych „sympatycznych" kołach warszawskich pod mianem altruizmu. Oczywiście, walkę z litością, rozlubowanem we własnej szlachetności współczuciem, prowadzi na drodze swej Korczak nie w imieniu Połanieckiego zdrowego rozsądku. Jeżeli pragnie on istotnie odzyskać zdrowie i śmiały gest ku zwycięstwu i życiu, to bynajmniej nie z tej strony Rubikonu. Altruizm, miłosierdzie znienawidził on właśnie za to, że są sentymentalną ochroną i usprawiedliwieniem sytości, tabliczką z napisem o przynależności do takiego lub innego stowarzyszenia przeciwżebraczego, zapewniającą spokojne i zdrowe trawienie w patryarchalnym zakątku domowym, wszelkiego rodzaju pańom „z znaczkami na guziku". Nie to jednak jest w altruistycznej obłudzie, najniebezpieczniejszem. „Altruizm" stał się w Warszawie pewną postacią laickiego kapłaństwa, posiadającego własną swą obrzędowość i hierarchję, a nadewszystko prawdziwie zakrystjalne zamiłowanie drobnych intryżek, iście kleszą mściwość i rzezańczą bezpłodność.

Rozkochane w samych sobie Narcyzy społecznego bólu, stały się absolutnie niezdolnemi do czegokolwiek prócz przeglądania się w sadzawkach przez łzy, ciurkiem cieknące, utworzonych.

Wszystko, co chciało znaleźć dostęp do tych sfer warszawskiej umysłowości, wylegitymować się musiało z kwarantanny cierpienia. W obrazach Rubensa warszawski altruistyczny esteta dopatrzyć się był zdolny włosiennicy i głębokiego taedium vitae.

Powstawała najobrzydliwsza gwara i styl stękający i zająkliwy.

Redakcje polecały początkującym krytykom rozpatrywać S ą d o s t a t e c z n y Michała Anioła i Szekspirowski S e n n o c y l e t n i e j z punktu widzenia społecznego ukochania. Anatol France przez trzy dni szukał napróżno na ciele swem stygmatów św. Franciszka, przeczytawszy tłomaczenie zamieszczonego w warszawskim „postępowym" tygodniku artykułu o sobie.

Jestem przekonany, że tylko to rozjęczenie się prasy warszawskiej mogło pozwolić jej utrzymać się na tak przerażająco niskim stopniu kultury.

Z każdym rokiem ujawniało się w niej coraz to wzrastające ubóstwo przedmiotowej treści i wzmagała się żałosność skarg i jęków.

Wszystko to razem czyniło wrażenie jakiegoś zrzeszenia zarażonych megalomanją paralityków, popisujących się na wyścigi przed sobą własną niezdarnością, nieprześcignionych w złośliwej żądzy szkalowania.

Dość było wziąść do ręki postępowe pismo warszawskie, bezpośrednio po przeczytaniu jakiegoś europejskiego miesięcznika, aby odczuć, że się tu ma do czynienia z ludźmi, pod względem kulturalnym konsekwentnie zagłodzonemi, a obecnie podnoszącemi to wynędznienie duchownego organizmu do godności zasady.

Charakteryzowało Warszawę to w ostatnich czasach, że wszczęcie jakiejś kulturalnej sprawy, wymagało w niej specjalnego usprawiedliwienia.

Typem umysłowości stawała się zrozpaczona i opuszczona od lat co najmniej trzydziestu wdowa (płci obojga), którą oczywiście ex re długotrwałych nieszczęść nie mogło obchodzić nic z tego, co dzieje się w egoistycznym świecie, ale która z powodu tych różnych nieszczęść, właśnie lubiła się wygadać długo, nudnie a żałośliwie.

Gdy pomimo to chciał ktoś wzbudzić w tej dostojnej, wiecznie krzywej i poobwiązywanej wszelkiego rodzaju kataplazmami osobie zainteresowanie dla jakichś teoterycznych zagadnień, musiał przedewszystkiem wykazać, że mają one związek z cierpieniami jej ś. p. męża, lub że zawierają niezawodny środek na odciski, ból zęba, lub strzykanie w krzyżu.

W innych wypadkach bowiem dama zatykała sobie uszy brudną watą i zasklepiała się w rozmyślaniach nad swą etyczną nieskazitelnością.

Janusz Korczak ujrzał w prawdziwem świetle tę sferę warszawskiej postępowej uczuciowości, dzięki temu właśnie, że ją całkowicie szczerze i niezależnie od jakichkolwiek bądź publicystycznych sugiestji w sobie samym przeżył.

Talent jego pisarski wyłonił się z gorzkiego przeświadczenia, że myśli i uczucia, nie tkwiące korzeniami w glebie szczerego bezpośredniego życia, skazane są niezawodnie na zwiędnięcie.

Doświadczenie wewnętrzne i upamiętnione przez Korczaka w jego objętym wspólnym, jak gdyby umyślnie wyśnionym tytułem „D z i e c k o s a l o n u", cyklu coraz to bardziej przedmiotowym i coraz to więcej żartu nabierających skarg, ironicznie bolesnych zestawień i lamentacyj, są potrosze historją nas wszystkich, których młodość upływała w Warszawie w ciągu ostatniego piętnastolecia.

Moje nieszczęśliwej pamięci „W i r y", Fragmenty, obecnie przez p. Licińskiego drukowane, wszystko to są w pewnej mierze karty z tej samej niewesołej księgi. Temat jest jeden: bezcelowość rozpaczliwa i całkowicie świadoma własnego istnienia w obrębie danych form społecznego bytu.

Stąd zainteresowanie, przybierające zależnie od charakteru danego umysłu rozmaite formy. U jednych wyradzało się ono w estetyczną ciekawość dla nienormalnych stanów duchowych, w innych w rozpaczliwe systematy filozoficzne, przeciwstawiające świadomość bytowi.

Ta ostatnia surową zbytnią wybujałością, zważywszy plemienną antypatję do abstrakcyjnego myślenia, zazwyczaj się nie odznaczała. Wszystko to stanowi tło umysłowego życia ostatnich pokoleń, uzasadnienie warszawskiego tak obsolutnego zresztą moder-

nizmu, indywidualizmu, etc. Nie chcę bynajmniej wzbudzać wrażenia, że całą tę sprawę bagatelizuję. pomimo skromnych kulturalnie form, wsiąkło tu wiele szczerego indywidualnie życia. Tu tylko nie mogę dłużej się nad tem zastanawiać.

Żywiołowo i samorodnie spokrewnilo go poczucie własnego osamotnienia; ze wszystkiem, co cierpi, szamocze się bezsilnie, tęskni. Być może nie miał on nawet czasu odczuć własnej swej duchowej klęski. —

Poprostu, zaczął od przeżywania wszelkiego istnienia jako nieuleczalnej krzywdy. Trzeba mieć własną treść życia przed sobą, jako zadanie w przyszłości, aby módz obok życia innych ludzi, przechodzić z niesłabnącem męstwem, aby niesłyszeć nieustannego jęku, rozlegającego się na życiowem pobojowisku. Gdy jednak wszystkie ścieżki, w przyszłość wiodące, obrywają się nad brzegiem przepaści, lub giną bez śladu wśród bagien i piasków, gdy się we wczesnej młodości ujrzy przed oczyma, szukającemi w nieskończoność wiodących widnokręgów mur żółty, monotonny i nudny schroniska inwalidów, wtedy sączyć się zaczną tysiącznemi zatruwającemi życie strugami, wszechświatowa nuda i nędza.

Dzieci napotkane na drodze, będą miały piętno czyhających na nie wielkomiejskich zniepráwień, kalectw i chorób. Każdy koń dorożkarski męczony i wychudły, będzie nowym argumentem życiowym, przeciw jakim kolwiek w przyszłość idącym usiłowaniom.

O takiej porze życia snuć się zaczął zapewne Korczakowi sen o samarytańskiem miłosierdziu, gojącem wszystkie rany, kojącem wszystkie smutki i udręczenia.

Dusza jego wyczuliła się do jakiegoś jasnowidztwa bólu.

Przedewszystkiem zaś padł mu na duszę ze wszystkich strychów, suteryn i lochów, ze wszystkich przytułków i fabryk aniołków rozlegający płacz dziecięcy. Te zgłodniałe, wynędzniałe półtrupięta stały się jak gdyby nieustannie obecną w jego twórczości wizją. Na wszystkie tony rozbrzmiewa na kartach jego utworów,—skarga, przekleństwo, złorzeczenia społeczeństwu, które przyszłość własną bezlitośnie spycha w grób, nędzę fizyczną, umysłową, kalectwo, zdziczenie, zbrodnię. Jego sprawozdanie z posiedzeń towarzystwa hygienicznego, jego uwagi o szpitalnictwie Warszawy i Łodzi i t. p., stają się nieustannem j'accuse. Janusz Korczak i jego działalność są zapowiedzią nowego typu pisarza, wyrastającego i rozwijającego się na podstawie—światopoglądu, imanentnie tkwiącego w potrzebach i dążnościach rozwojowych tych warstw, z któremi ogół intelligientny obcował dotąd przez pośrednictwo altruizmu.

Działalność literacka Korczaka jest symptomatem, że samo pojęcie inteligiencji musi być poddane krytyce. Jeżeli pod inteligiencją mamy pojmować czynniki społeczne, zdolne nie tylko rozumieć i czuć, ale także na podstawie swego rozumienia i czucia życie celowo budować, to jest jawnem, że p r z o d u j ą c e miejsce w społeczeństwie przypaść musi zgoła innym niż dotychczas warstwom. W każdym zaś razie te liczne, po za wszelkim przywilejem żyjące warstwy, są jedyną podstawą wszelkich typowych rozstrzygnięć moralnych. Tylko na nich opierając się, można pozytywnie i w dalszą sięgając przyszłość pracować, dla kultury.

Januszowi Korczakowi w udziale przypada zasługa, że drogę, w tym kierunku wiodącą, szczerem odczuciem odnalazł i wykazał.

Działalność pisarska jego jest w zaraniu dopiero. Dziś już jednak jest społecznie i kulturalnie jednem z najbardziej interesujących zjawisk literackich. Z pośród pisarzy ostatniego pokolenia Korczak najsilniej i najdobitniej swą fizjognomją literacką stwierdza, że życie kulturalne społeczeństwa musi wytworzyć do gruntu nową formację, lub zwyrodnieć.

Stanisław Brzozowski.

W. SROKOWSKI KREW.

Nie chiałbym być niesprawiedliwym względem autora „K r w i“, więc zanim wątpliwości mnie ogarną, póki jeszcze niezapóźno, muszę oświadczyć: ma on talent i to talent wcale niewątły! Już dawno nie spotykałem u młodych takiej jędrności i czystości języka, takiej umiejętności opowiadania, tak żywego temperamentu zmysłowego, takiej łatwości w snuciu bajki, takiej zwięzłości! (Ach, gdyby nasze autorki chciały go w tem naśladować!). Nie jest obłudny, ani zbyt cnotliwy, ani zbyt narodowo-tradycyjny, pomimo przebłyskujących tu i owdzie wspomnień husarzo-hetmańskich. Nie zbyt przenikliwy, nie zbyt wytworny, lecz zły smak zarzucić mu trudno.

Zresztą, by go poznać, wejdę do kuźnicy talentu i ukażę tematy nowel w opracowaniu autora...

K r e w — historja zemsty złośliwego, tęgo nerwowego garbusa nad kobietą, oślepioną przepychem swego ciała (autor pisze: „jaśminowe łona, boska linja bioder, przebogaty kształt ud“... często i ze smakiem); rzecz „zrobiona“ doskonale. M a r y j k a — błahostka sentymentalna, westchnienie dziewiczo-kawalerskie nad znikomością rzeczy! P ó ł t o r a Ś w i a t a — dobry szkic, rzut psychologicznie-efektowny na duszę heterki miejskiej i wysoko-kolumnadowo-egoistyczne zaczadzenie arystokracji. D w i e n o c e — historja nieco fałszywa: G i p y — sentymentalizm „biednego“ młodzieńca — który bawi się przerzucaniem z ręki do ręki kamyków swego wątpienia o sobie i swej mizerności; O p o w i a d a n i e K a s z t e l a n o w e j — uczcijmy przeszłość świętą! P r i m a w e r a — kunsztowna historja rozczarowań, jakie gotuje zbyt ślepa wiara w niewinność „białych“ dziewic. C h w i l a — on chciał ją ujrzeć raz jeszcze, ją, co żyje już z innemi... Przyszedł... rozżalił, obudził serce i poszedł. O p o w i a d n i e F u r j a t a — cierpienia człowieka, obecnego na ślubie „jej“ z innym. A n k a — bohater upada pod brzemieniem upajającej „cielistości“ Anki; rozkoszuje się swem rozkosznem poniżeniem, jak koń kąpielą w dzień skwarny. J e s i e n n a R ó ż a — rzecz napisana stylowo, podobać się będzie ogromnie pannom trzydziestoletnim, których dusze tchną tym samym zefirem zawodów. O s t a t n i l i s t — długie wymowne pożegnanie z kobietą; rodzaj

krzewiący się nas bujnie dzięki Tetmajerowi. (Rada: takich rzeczy lepiej nie pisać... zbyt żałośnie). Baśń. Fantazyjna próba podbicia kobiety potęgą woli. Odpowiedź: Kobieta może uledz całem ciałem przewadze ducha, ale serce jej pozostaje wiekuiście wolnem i słucha jedynie głosu najwewnętrzniejszej treści (Oto jedynie może u autora „Krwi" temat, nęcący czarem głębokiej tajemnicy!). Virgo Intacta — konwulsyjnie-rozwiązło-histeryczne wylewy zmysłowości, którym brak jednak uśmiechu Mefistofelesa i pazurów demona; Izba na czwartaku: — ach, jaki jestem zmęczony, ja, potomek hetmanów polskich!

Jeśli twierdzę, że p. Srokowski ma talent, to dlatego, że trzeba niepowszedniej chyba zdolności, aby w te mdłe, butwiejące ramy wlewać treść, jeśli nie buchającą z głębin, nie kłębiącą się od zagadnień i nie strzelającą ku gwiazdom pytaniami i olśnieniami, to jednak żywą; że trzeba nielada wizjolnerstwa, by nadać postaciom swym ruch, gest i dzwięk, zespolić małych bohaterów, wlać w ich piersi oddech ludzki...

Lecz to jest rzeczą smutną w tym młodym autorze, że odgrodzony jest on chińskim murem od zagadnień i waru swej epoki, że nie uśmiecha się do niego Sfinks, że po nocach spać mu nie dają tylko jaśminowe uda, nie zaś pragnienie wydarcia bogom tajemnicy. Jak wielu pisarzów polskich, ma on oczy zamknięte na to, że życie naprawdę może być zupełniejsze, rozleglejsze i bogatsze.

L. Choromański.

Wiadomości bibljograficzne.

A. Lange. Analfabetyzm i walka z ciemnotą w Królestwie Polskiem, kop. 35.

D-r Zofja Daszyńska-Golińska. Teorytyczne podstawy polityki społecznej w XIX wieku, kop. 50.

Henryk Konic. Samorząd gminny w Królestwie Polskie m w porównaniu z innemi krajami europejskiemi, Wyd. 2-gie, rub. 1.80.

Ludwik Krzywicki. Żmudź starożytna, rub. 1.20.

G. Maier. Prądy i teorje społeczne. Przełożyła z 2-go wydania niemieckiego D-r M. Bornsteinowa.

E. Dühring. Waffen, Capital, Arbeit. Leipzig. Thomas.

H. Geffken. Preussen, Deutschland und die Polen seit dem Untergang des polnischen Reiches. Berlin.

Lignitz. Russlands innere Krisis. Berlin M. 4.—

R. Martin. Die Zukfunt Russlands. Leipzig M, 2,40.

Seelman H. Das gesammte Material zur Reform der Arbeiterversicherung in Deutschland. Frankfurt a M. M. 1.—

D-r Carl Schmidt. Die Neue Frau. Grundriss einer Erziehungsform. Stuttgart M. 2.50.

Bernstein Ed. Die heutige Sozialdemokratie in Theorie und Praksis. München M. 1.—

Henriette Roland Holst. Generalstreik u. Socialdemokratie. M. e. Vorvort v. Karl Kautsky 2 rev. Auflage Dresden M. 1.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca **A. MILLER.** Drukiem A. Wiślickiego, Długa 23.